

Wspomnienia Powstańca - mówi Andrzej Danysz

Przeczytaj fragment wspomnień wojennych Andrzeja Danysza, ps. „Filozof”, który walczył w Powstaniu Warszawskim w kompanii „Grażyna” batalionu AK „Gustaw”- „Harnaś”



Pamiętam epizod z Kościoła św. Krzyża. Po zdobyciu kościoła przez kilka dni trzymaliśmy w nim warty. Tam jest główne wyjście oraz drzwi po lewej i po prawej stronie. Siedziałem po lewej stronie. A przed nami była postać Chrystusa. W pewnym momencie nadjechał z lewej strony, od ul. Królewskiej, czołg. Dla nas to była gratka. Ktoś powiedział: „To atakujemy!” Rzuciliśmy butelki z benzyną i granaty zapalające, niestety

nie udało się czołgu zapalić. Niemcy zorientowali się, gdzie jesteśmy. Czołg obrócił działo i zaczął do nas celować. Całe szczęście, że wieża obracała się powoli, zdążyliśmy uskoczyć za filar - przeczytaj fragment wspomnień wojennych prof. Andrzeja Danysza, ps. „Filozof”, który walczył w Powstaniu Warszawskim w kompanii „Grażyna” batalionu AK „Gustaw”-„Harnaś”

Andrzej Danysz

ur. 22 lutego 1924 r. w Warszawie

żołnierz Armii Krajowej ps. „Filozof”

kompania „Grażyna” batalionu AK „Gustaw”-„Harnaś”

Wojna 1939

W sierpniu 1939 r. przebywałem na obozie żeglarskim nad Naroczą na Wileńszczyźnie. Miałem wtedy 15 lat. Wojna wisiała w powietrzu. Zarówno z gazet, jak i z radia dochodziły do nas - kursantów nastroje zbliżającego się zagrożenia. Kierownictwo obozu zakończyło kurs kilka dni wcześniej i poleciło nam wracać do domów.

Do Przemyśla, gdzie mieszkałem z rodzicami i młodszym bratem, trzeba było jechać koleją przez Warszawę. Tam kupiłem bilet do Lublina, bo na tyle tylko starczyło mi pieniędzy. W Lublinie wyszedłem z dworca do miasta zastanawiając się, co dalej robić.

Na bilet do Przemyśla brakowało mi, jak dobrze pamiętam, 5 zł. W geście rozpaczki zwróciłem się do pierwszego napotkanego żandarma. Wylegitymowałem się i poprosiłem o pomoc. Żandarm, początkowo nieufnie, spojrział na mnie i zapytał:

- A ile ci brakuje do biletu?

Odpowiedziałem zgodnie z prawdą, że 5 zł. Po pewnej chwili wahania żandarm wyjął 5 zł i powiedział:

- Ale nie zapomnij zwrócić te pieniądze na ten adres.

Na kartce napisał swoje nazwisko i adres. Do dziś pamiętam, że natychmiast po przyjeździe do domu poprosiłem moją mamę o pieniądze i tego samego dnia wysłałem na wskazany adres. Był to 1 września, czyli pierwszy dzień wojny i nie bardzo wierzyłem, że pieniądze dojdą do adresata.

Ojca w domu nie było - już w sierpniu został zmobilizowany i przebywał, jak się później okazało, na Kielecczyźnie. W domu była moja matka, młodszy brat i służąca, która zresztą w następnych dniach odeszła do swojego domu na wsi.

Pierwsze dni wojny pozostały w mojej pamięci jako chaos i przerażenie. Nie pamiętam dokładnie kiedy, ale w już pierwszych dniach spadły na Przemyśl pierwsze bomby, nie czyniąc zresztą większych strat,

pogłębiając jednak wrażenie grozy i potęgując panikę wśród ludności. Przez dworzec kolejowy przewalały się tłumy uciekających z zachodu (z Katowic, Krakowa) ludzi.

Byliśmy zaprzyjaźnieni z rodziną prezydenta miasta - pana Leonarda Chrzanowskiego. Ojciec jego żony, zaprzyjaźnionej z moją matką, bardzo nobliwy starszy pan, siedział w fotelu i będąc w stanie głębokiego szoku powtarzał: „To niesłychane, to niesłychane!”

5 września zwróciłem się do mojej matki:

- Mamo, chcę zgłosić się na ochotnika do wojska!

- Jeśli uważasz, że powinienes, to idź - odparła, ku mojemu zaskoczeniu, mama.

Koło Przemyśla stacjonował pułk artylerii, którego dowódcą był płk Włodzimierz Ludwig - znajomy mego ojca. Następnego dnia pojechałem tam rowerem. Z pewnym trudem udało mi się dostać do płk. Ludwiga, który powiedział krótko:

- Masz zgodę rodziców? To dobrze. Przydasz mi się jako goniec. Za kilka godzin wyruszamy!

Jak mogłem najszybciej, pojechałem do domu, aby pożegnać się z mamą i zabrać najpotrzebniejsze przybory na wyprawę, o której nie wiedziałem, jak długo będzie trwała. Otrzymałem przydział. Po zapadnięciu zmroku oddział wyruszył na... wschód.

Tempo poruszania się ograniczały wozy taborowe. Początkowo starałem się jechać swoim rowerem. Po kilku godzinach poprosiłem, aby pozwolono mi wejść na jeden z wozów. Był to drabiniasty wóz z sianem. Z ogromnym trudem wdrapałem się na wierzch razem z rowerem, przywiązałem rower sznurkiem do drągu na wierzchu siana, a sam przywiązałem się do tego samego drąga paskiem od spodni. Szybko i mocno zasnąłem. Rano zatrzymaliśmy się na postój. Po obudzeniu stwierdziłem, że mój rower zniknął. Zameldowałem o tym mojemu dowódcy, chyba był to dowódca kompanii. Tylko wzruszył ramionami i powiedział: „Trzymaj się swego wozu!”

Następnego dnia wyruszyliśmy ponownie o zmroku. Wyczuwało się już pewien niepokój. Front się zbliżał, a Niemcy w przeciwieństwie do nas poruszali się samochodami. Tej nocy spałem wyjątkowo mocno. Obudziłem się o świcie. „Mój” wóz, pełen siana, stał w jakiejś zagrodzie bez koni. W całej wiosce słychać było krzyki i biegających ludzi. Wojska nie było, woźnicy mojego wozu również. Co robić?

Wiedziałem, że zostać tu nie mogę - byłem w rzucającym się w oczy mundurze harcberskim. Z krzyków ludzi w wiosce zorientowałem się, że Niemcy nadchodzą. Postanowiłem dogonić mój oddział - wiedziałem, że mogę tego dokonać tylko wozem. Trzeba było zaprząć konie do wozu.

Konie stały w stajni. Trzeba im było założyć uprząż i zaprząć do wozu. Męczyłem się strasznie i nie za dobrze mi to wychodziło. W drzwiach stajni stała kilkunastoletnia ułomna dziewczyna i śmiała się ze mnie. Byłem wściekły:

- Zamiast się wyśmiewać, mogłabyś mi pomóc!

Okazała się bardzo sprawna. Po kilku minutach konie były zaprzęgnięte do wozu. Serdecznie jej podziękowałem i ruszyłem - bardzo niefortunnie. Nie zwróciłem uwagi, że wóz był nieznacznie bokiem do zamierzonego kierunku jazdy. Natychmiast się przewrócił, a ładunek, tzn. siano, wywaliło się na podwórze. Dziewczyna zanosila się ze śmiechu. Nie dziwiłem się jej. Cóż mi pozostało? Oczyszczałem wóz z siana, z dużymi trudnościami udało mi się postawić go na koła i wreszcie mogłem wyruszyć w pogoń za wojskiem. Miałem świadomość, że nie będzie to łatwe.

Drogą szli uciekający przed Niemcami. Wielu z nich prosiło mnie, aby mogli się przysiąc. Początkowo odmawiałem, ale w końcu uznałem, że nie mam prawa odmawiać. Po godzinie wóz był tak naładowany, że konie z trudnością ciągnęły. Byłem zaniepokojony i niepewny, co robić dalej. W pewnym momencie podjechał do mnie mężczyzna na osiodłanym koniu. Odezwał się do mnie:

- Proponuję ci zamianę: twój wóz za mego konia!

Zdecydowałem się natychmiast. Zatrzymałem wóz i po chwili siedziałem już w siodle na pięknym wałachu. Dziwnym zbiegiem okoliczności mężczyznę tego spotkałem kilka lat po wojnie na ulicy w Warszawie. Poznaliśmy się wzajemnie i przypomnieliśmy sobie nasz, co najmniej dziwny, handel wymienny. Okazało się, że mężczyzna ten dojechał do Lwowa, pozbył się wszystkich swoich pasażerów i zaczął zarabiać transportem: przewoził pasażerów i towar. Uważał, że zrobił dobry interes.

Tymczasem ja, kłusując, dogoniłem po kilku godzinach swój oddział. Powitano mnie, jakbym wstał z grobu. Dowódca kompanii spojrzał na mojego konia i powiedział:

- Złaz z tego konia, zabieram go dla siebie!

- A co ze mną? - wiedziałem, że w wojsku nie ma dyskusji.

- Możesz wziąć sobie konia taborowego - usłyszałem.

Końmi taborowymi były perszerony o szerokim zadzie i grzbiecie. Podstawiono mi jednego nawet osiodłanego, na którym jednak wytrzymałem zaledwie kilka godzin jazdy - miałem odparzone fatalnie pośladki i uda. Wstydząc się niezmiernie, poprosiłem o zezwolenie, abym mógł przesiąść się na bryczkę, którą jechały cztery kobiety prawdopodobnie żony naszych oficerów. Oddział nasz posuwał się ciągle na wschód, a właściwie na południowy wschód.

Pewnej nocy, było to 16 września, zostaliśmy ostrzelani. Dowódca oddziału, prawdopodobnie dowódca kompanii, rozkazał zebrać się żołnierzom i miał do nas krótką przemowę:

- Żołnierze! W sąsiedniej wiosce zostaliśmy zdradziecko ostrzelani przez ukrywającego się wroga. Nie możemy tego tak zostawić! Wrogów trzeba złapać i ukarać. Organizuję wyprawę pacyfikacyjną. Zabieram ze sobą tylko ochotników.

Zgłosiłem się i dostałem pierwszy w swym życiu karabin. W grupie „pacyfikacyjnej” było chyba 20-25 ludzi. Chodziliśmy od chaty do chaty i szukaliśmy broni. Znaleźliśmy trzy karabiny. Broń i prawdopodobnych właścicieli aresztowaliśmy i z dumą przyprowadziliśmy ich do naszego obozu. Dowódca wystawił strażników i powiedział, że nazajutrz odbędzie się sąd polowy. Nie było żadnych prób samosądu. Poszliśmy spać.

Rano obudziły nas krzyki i głosy w obcym języku. To, co zobaczyłem, zmroziło mi krew w żyłach. Cały nas obóz otoczony był wiankiem czołgów i żołnierzami w charakterystycznych pałatkach. Przez tubę usłyszeliśmy polecenie łamaną polszczyzną:

- Nie ruszać się i siedzieć na miejscu!

Polecono następnie złożyć broń i amunicję w jedno miejsce. Potem na skraju naszego obozowiska zasiadła komisja z tłumaczem i zajęła się selekcjonowaniem sprzętu i ludzi, Po pierwsze, ogłoszono, że broń i

amunicja oraz cały sprzęt łącznie z końmi przechodzą na własność armii radzieckiej. Żołnierze są wolni i mogą wracać do domów. Oficerowie natomiast zostaną przewiezieni do Kołomyi i tam będą podlegali badaniom przez odpowiednie służby radzieckie.

Komisja doszła wreszcie do mnie. Nie wiedzieli, jak mnie zakwalifikować i co ze mną zrobić. Wreszcie zdecydowali, że mam być przewieziony razem z oficerami do Kołomyi. Kazano mi wsiąść na wóz, gdzie siedzieli już oficerowie, i cała kolumna wozów i strażników na koniach ruszyła. Po godzinie czy dwóch dowieziono nas do Kołomyi i wysadzono na rynku. Grupa oficerów ze mną, ubranym w mundur harcowski, liczyła ok. 20 osób. Otoczył nas tłum mieszkańców miasteczka składający się głównie z ukraińskich i żydowskich wyrostków. Zaczęli wykrzykiwać do nas obraźliwe wyzwiska, potem zaczęli na nas pluć i zrywać epolety i naszywki. Był to pewnego typu lincz. Czułem się bardzo upokorzony. Podobnie, a może gorzej odczuwali to oficerowie. Strażnicy radzieccy nie reagowali, a nawet było widać na ich twarzy pewne rozbawienie i satysfakcję.

Po pewnym czasie poprowadzono nas do więzienia. Tam ulokowano nas w jednej dużej celi. Noc spędziliśmy w prymitywnych warunkach na siennikach. W następnym dniu rozpoczęły się przesłuchania. Pouczono mnie, abym nie przyznawał się do ojca oficera. Mijały monotonne więzienne dni. Ósmego czy dziesiątego dnia wezwano mnie na przesłuchanie. Opowiedziałem o ojcu nauczycielu i mojej przypadkowej obecności w tej grupie. Ot, uciekinier.

Następnego dnia wypuszczono mnie. Pod bramą więzienia natknąłem się na panią w średnim wieku, która wypytywała mnie o swego męża nazwiskiem Noi. Był to miejscowy notariusz. Niestety, nic o nim nie słyszałem. Pani Noi zainteresowała się teraz moją osobą.

- A co ty tu robisz? - spytała.

Opowiedziałem w skrócie swoją historię i moje przesłuchania w więzieniu.

- No, a co teraz zamierzasz robić? - spytała pani Noi.

- Chciałbym się dostać do Krzemieńca, gdzie mieszka mój stryj.

Wiedziałem, że punktem zbornym rodziny miał być Krzemieniec, gdzie najstarszy brat mojego ojca, Żelisław, był zarządcą majątku Liceum Krzemienieckiego. Pani Noi ostrzegła mnie, że teraz jest bardzo niebezpiecznie, zwłaszcza dla Polaków - Ukraińcy wszystkich mordują.

- Do chwili uruchomienia kolei możesz pomieszkać u mnie.

Oczywiście bardzo chętnie się zgodziłem. Mieszkała w małym domku z dziewięcioletnim synem i gosposią. Spędziłem u niej chyba 7 czy 10 dni. Prawie nie wychodziłem na ulicę. Byliśmy praktycznie pozbawieni informacji - gazety nie wychodziły, a radio nadawało tylko po rosyjsku.

Wreszcie uruchomiono kolej. Wepchnąłem się do zatłoczonego wagonu i dowiedziałem się, że pociąg jedzie tylko do Lwowa. Dobre i to, pomyślałem. Pociąg włókł się jak żółw. Do Lwowa dojechaliśmy w nocy. Na dworcu był kłębiący się tłum. Dowiedziałem się, że nad ranem będzie pociąg do Łucka. Zdecydowałem się tam jechać, chociaż to wcale nie przybliżało mnie do Krzemieńca. Po kilku godzinach dojechałem do Łucka.

Po wyjściu z dworca skierowałem się szosą do Równego. Po pewnym czasie spotkałem idącego wolniej, ale w tym samym kierunku, kolejarza. Był już w starszym wieku. Jak to mówił Wańkowicz, bardzo „przywiteczny” - chętnie przystał na moje towarzystwo. Był już na emeryturze i mieszkał nad samą granicą z Niemcami. Przeżył atak Niemców rankiem 1 września i widział ich brutalność i okrucieństwo. Postanowił uciec od nich jak najdalej. Miał rodzinę na Wołyniu, gdzieś za Równem, i tam postanowił dotrzeć. Szedł znacznie wolniej niż wynosiły moje możliwości, ale postanowiłem się go trzymać. Miał takie powiedzenie, które często powtarzał: „Pomalu, pomalu, rychtyg zajdziemy”.

Po przejściu kilkudziesięciu kilometrów przenocowaliśmy w jakiejś stodole i następnego dnia wyruszyliśmy dalej w kierunku Równego. Tam się rozstaliśmy. Trzeciego dnia dotarłem do Krzemieńca. Nie miałem trudności w znalezieniu swego stryja Żelisława Danysza, dyrektora majątków Liceum Krzemienieckiego. Liceum Krzemienieckie była to bardzo stara i szacowna instytucja uczelniana, składająca się m.in. z gimnazjum i seminarium nauczycielskiego, którą utworzono na początku XIX w. z odpowiednią fundacją gwarantującą jej stałe dochody - m.in. majątki ziemskie.

W domu mego stryja powitano mnie bardzo gościnnie. Mieszkał tam stryj Żelisław i jego gospodyni. Stryj był rozwiedziony ze swoją pierwszą żoną, z którą miał trzy lata starszego ode mnie syna Jerzego, nazywanego Teptusiem. Teptusia nie było w domu, nie pamiętam już, gdzie przebywał. Od stryja dowiedziałem się, że moja mama Jadwiga z młodszym synem dotarli, uciekając przed Niemcami, do Brodów, skąd po zakończeniu działań wojennych wrócili do domu, do Przemyśla.

W tej sytuacji po kilku dniach odpoczynku postanowiłem wrócić do swojego domu w Przemyślu. Pożyczyłem od stryja trochę pieniędzy i przez Lwów dojechałem do Przemyśla. W domu, ku mojej radości, zastałem mamę z moim młodszym bratem Maćkiem. Najważniejsze jednak, że znalazł się tam mój ojciec, który po kapitulacji polskiego wojska i rozbrojeniu przebrał się w ubranie cywilne i dotarł do Przemyśla. Po kilku dniach ojciec został ostrzeżony, że NKWD zamierza go aresztować. Natychmiast opuścił dom i samotnie, wpław, przedostał się przez San na stronę niemiecką.

Po kilku dniach Rosjanie uzgodnili z Niemcami, że Polacy, którzy mogą udowodnić swoje pochodzenie z terenów zajętych przez Niemców, mogą przejść legalnie na drugą stronę. Dzięki temu cała rodzina (wraz z ojcem) znalazła się w domu rodziców Jadwigi Danysz ze Strzałkowskich w Sosnowcu. Był to wówczas teren Rzeszy.

Tak się skończył mój udział w wojnie 1939 r.

Okupacja

Po kilku miesiącach pobytu rodzice zorientowali się, że sytuacja dla niestałych mieszkańców Sosnowca może stać się niebezpieczna. Cała rodzina Danyszów przeniosła się do Książa Wielkiego w województwie kieleckim, dokąd została zaproszona przez dr Jadwigę Danysz, stryjeczną siostrę Michała, córkę Tadeusza.

Doktor Jadwiga Danysz była wówczas najstarszym (przez wiele lat jedynym) lekarzem w tym miasteczku i cieszyła się ogromną sympatią i szacunkiem. Sama była osobą niezamężną. Mieszkała z nią owdowiała siostra z trojgiem dzieci, a potem druga siostra, która uciekła w dramatycznych okolicznościach ze Związku Radzieckiego.

Jadwiga przyjęła nie tylko naszą rodzinę, ale również innych uchodźców, m.in. z poznańskiego. Wszystkich utrzymywała w swym dużym, wygodnym domu. Aby nie mieć przerwy w edukacji, zacząłem pobierać prywatne lekcje z zakresu IV klasy gimnazjum u znanego w Książu Wielkim prof. Majewskiego. Równocześnie, jak wielu innych w tych czasach, próbowałem zarabiać. Rozpocząłem produkcję mydła, które w drodze tzw. handlu obwoźnego sprzedawałem w okolicznych wsiach. Również mój ojciec doraźnie zarabiał na handlu.

Jesienią 1940 r. nasza rodzina przeniosła się do Warszawy, na zaproszenie kuzynów Rabków mieszkających przy ul. Raszyńskiej na Ochocie. Kontynuowałem naukę w prywatnym gimnazjum Władysława Giżyckiego na Wierzbnie. Z niektórymi kolegami z gimnazjum do tej pory utrzymuję kontakt.

W 1941 r. wróciła z internowania w Rumunii siostra mojej matki, Wanda, która w Rumunii wyszła za mąż za majora Sidorowicza. Wandzie Sidorowicz Niemcy przydzielili w zamian za zabrane mieszkanie majora Sidorowicza - pokój z kuchnią przy ul. Grottgera na Dolnym Mokotowie. Do tego to lokalu przeniosła się cała nasza rodzina. W jednopokojowym mieszkaniu przy ulicy Grottgera mieszkało nas pięć osób. Pokój był maleńki, nie było łazienki. Do spania rozkładało się sienniki na podłodze. Przez pewien czas mieszkali również u nas inni członkowie rodziny, m.in. kuzynka wysiedlona ze Śląska, rodzice mojej matki. Tak działo się wtedy w wielu warszawskich domach.

Ojciec otrzymał wówczas posadę rewidenta w Spółdzielni Spożywców „Społem”, co stało się zasadniczym źródłem utrzymania całej rodziny. Siedziba Związku Rewizyjnego Spółdzielni Spożywców „Społem” mieściła się przy ulicy Różanej, na Mokotowie. Ojciec pracował głównie poza domem, w Sokołowie Podlaskim. Oczywiście nie ujawnił władzom okupacyjnym, że jest zawodowym wojskowym w stopniu majora, nie trafił więc do oflagu.

Później ukończyłem liceum na tajnych kompletach zorganizowanych przy szkole Giżyckiego i uzyskałem w 1942 r. „tajną” maturę. Przed osiemnastoletnim Polakiem w Warszawie były właściwie tylko dwie możliwości - praca lub nauka w jednej z nielicznych istniejących szkół pomaturalnych. Trzeba było mieć „Ausweis”, co relatywnie miało chronić przed aresztowaniami. Nie zawsze było tak faktycznie. Myślałem o Szkole Wawelberga, ale zdawałem sobie sprawę, że nie mam zamiłowania ani talentów do spraw technicznych.

Przypadkowo spotkałem na ulicy swego kuzyna Krzysztofa Stefanowskiego. Opowiedział mi, że od roku chodzi do tzw. Szkoły Zaorskiego pod oficjalną nazwą „Private Fachschule für sanitäres Hilfspersonal in Warschau”, a która jest faktycznie zakamuflowaną uniwersytecką medycyną. Szkoła ta mieściła się na terenie Uniwersytetu Warszawskiego w gmachu zakładów teoretycznych Wydziału Lekarskiego. Ważne było również to, że szkoła ta wydawała ausweisy uznawane przez Niemców. Kuzyn uprzedził mnie, że o przyjęciu decyduje zdanie egzaminu wstępnego i świadectwo tzw. „małej matury”.

Postanowiłem spróbować. Z duszą na ramieniu zjawiłem się w początkach września na parterze gmachu zakładów teoretycznych, w gronie kilkunastu innych kandydatów do szkoły. Po krótkim oczekiwaniu poproszono mnie do pokoju, w którym siedział prof. Władysław Kapuściński - fizyk. Pierwsze pytanie było dla mnie zaskakujące: „Dlaczego komar siadając na wodzie nie tonie?” Przypomniałem sobie o napięciu powierzchniowym, co okazało się trafne. Były oczywiście i inne pytania, których nie pamiętam. Okazało się, że zdałem.

Wkrótce rozpoczęły się zajęcia. Początkowo były to wykłady w dużej sali wykładowej. Przede wszystkim byłem zachwycony znakomitymi wykładowcami: prof. Władysław Kapuściński (fizyka), prof. Stanisław Przyłęcki (chemia), prof. Stefan Różycki (anatomia) i inni - byli to nie tylko wirtuozi słowa, ale wysokiej rangi naukowcy znani nie tylko w Polsce. Były to przede wszystkim nieprzeciętne osobowości, które do dzisiaj żyją w mojej pamięci. W ciągu pierwszego roku słuchacze przerabiali i zaliczali dwa lata medycyny.

Poza studiami próbowałem, ze względu na trudną sytuację materialną rodziny, różnych zajęć. Wynająłem np. wózek i rozwoziłem węgiel i kartofle. Pamiętam taką śmieszną historię. Na miejscu obecnego mostu Śląsko-Dąbrowskiego był most Kierbedzia, dużo niżej położony. Żeby wjechać na trakt zwany wiaduktem Pancera, trzeba było długo jechać pod górę. Ciągnąc wózek z węglem, nie dawałem sobie rady. Rozglądałem się wszędzie, aby wynająć kogoś, kto by mi pomógł wózek wciągnąć na górę na plac Zamkowy. Niestety wynagrodzenie, jakiego zażądał mój potencjalny pomocnik, przekraczało to, co ja ewentualnie mogłem dostać za sprzedaż węgla z tego wózka.

Próbowałem zarabiać też w inny sposób. Zacząłem produkować mydło. Na medycynie jest chemia - wiedziałem, jak się robi mydło. To mydło się nazywało „AD”, Andrzej Danysz, używałem specjalnej pieczętki. Chodziłem na plac Kercelego, którego teraz już nie ma. Tam sprzedawałem wyprodukowane przez mnie mydło. Tak wyglądało moje życie codzienne.

W drugim semestrze miałem egzamin z anatomii prawidłowej u prof. Stefana Różyckiego. Egzamin ten poszedł mi tak dobrze, że profesor zaproponował mi etatowe zatrudnienie w charakterze „demonstratora anatomii”. Oczywiście przyjąłem propozycję z radością. „Stanowisko” to wiązało się nie tylko z ausweisem pracownika, ale również z określoną, choć niewielką pensją, która poprawiła moją sytuację materialną. Pracę rozpocząłem 1 września 1943 r. i trwała ona aż do wybuchu powstania tj. 1 sierpnia 1944 r. Moje obowiązki polegały na prowadzeniu seminariów ze słuchaczami w niewielkich grupach. Jako demonstrator bywałem również na egzaminach z anatomii.

Wśród kolegów tego samego semestru powstawały samorzutnie grupy koleżeńskie, zawiązywały się bliskie przyjaźni. Moją pasją obok nauki była sztuka. Często organizowałem konspiracyjne wieczorki artystyczne, sam biorąc w nich udział jako konferansjer i recytator.

Zaprzyjaźniłem się w tym czasie bliżej m.in. z Jadzią Miarczyńską. Była bardzo przystojna (mimo pewnego kalectwa) i miała piękny głos - sopran. Czasem śpiewała na sali wykładowej, niekiedy wspólnie z kolegami Lucjanem Szyszkowskim lub Tadeuszem Kisielińskim.

Często odwiedzałem ją również w domu. Pamiętam, że mieszkała na Pradze przy ul. Szerokiej razem z matką, była śpiewaczką operową, z pochodzenia Rosjanką. Nasze spotkania zawsze kończyły się muzyką - śpiewem i grą na fortepianie. To były niezapomniane wieczory, zwłaszcza że byliśmy praktycznie pozbawieni możliwości korzystania z muzyki.

Mijały kolejne okupacyjne lata.

Konspiracja

Podczas niemieckiej okupacji członkowie wielu warszawskich rodzin działali w konspiracji. Podobnie było u nas. Ojciec, pracujący jako rewident Spółdzielni Spożywców „Społem” w Sokołowie Podlaskim, prawdopodobnie uczestniczył w tamtejszych strukturach podziemnych. W domu nie mówiło się o takich rzeczach.

Młodszy o prawie cztery lata brat po przyjeździe do Warszawy natychmiast nawiązał kontakt z tajnym harcerstwem. Od 1940 r. był członkiem zastępu harcerskiego tajnej 49 WDH. Wiosną 1942 r. wraz z całym zastępem przeszedł do Szarych Szeregów, do zorganizowanej przez Stefana Mirowskiego drużyny im. Romualda Traugutta, tzw. „Zawiszaków”. Na początku brał udział w akcji „Mieczyki”. Polegało to na tym, że harcerze napadali na Hitlerjugend, którzy szli ulicą Belwederską, i zabierali im mieczyki, nic więcej. Niemcy się połapali w procederze i zaczęli łapać Polaków. Potem Maciek wstąpił do batalionu „Zośka”, gdzie był najpierw w BS-ach, a od 1943 r. w Grupach Szturmowych. Brał udział w różnych akcjach.

Wiedziałem o jego działalności. Ja byłem przeciwny konspiracji. Zdawałem sobie sprawę z beznadziejności takich działań i dysproporcji sił. Z drugiej strony, każdy z nas miał poczucie honoru.

Kiedy zacząłem w 1942 r. chodzić do Szkoły Zaorskiego, mój kuzyn Stefanowski powiedział:

- Słuchaj, co ty robisz?

- Na razie nie mam kontaktu - odpowiedziałem.

- To ja cię skontaktuję.

Kuzyn wprowadził mnie do konspiracji akowskiej - do kontrwywiadu. To był mój pierwszy kontakt z konspiracją. Rola tego kontrwywiadu polegała na szpiegowaniu donosicieli i tych wszystkich, którzy zasługiwali na - nazwijmy to - eliminację. Byli przez ten kontrwywiad rozpracowywani i potem były wykonywane na nich wyroki. Oczywiście wyrok był tylko jeden, to znaczy wyrok śmierci. Musiałem, często nawet do nocy, pomimo godziny policyjnej, śledzić takich czy innych szpiegów, konfidentów, których zlecali mi moi przełożeni. Miałem czasami w związku z tym dramatyczne momenty.

Kiedyś dostałem nazwisko i adres przy ul. Narbutta. Pomyślałem sobie - pójde tam. Drzwi otworzyła kobieta. Powiedziałem, że chcę porozmawiać z jej mężem. Powiedziała, że niestety nie ma go w domu. Pomyślałem, że to dobrze, bo mógłby zadzwonić po Niemców. Zacząłem z nią rozmowę o działalności męża. W pewnej chwili zadzwonił telefon. Kobieta odebrała i powiedziała: „No, ma pan szczęście, bo mój mąż zaraz tu będzie. Bardzo się zaniepokoił, że pan przyszedł.” Proszę sobie wyobrazić, jak szybko wtedy stamtąd wiałem. Uniknąłem śmiertelnego niebezpieczeństwa. Nie pamiętam, pod jakim pretekstem tam poszedłem. Była to dziecinada. Miałem wtedy zaledwie 18 lat.

Chyba po roku czy półtora grupa, w której pracowałem, została rozbita, w sposób zresztą bardzo dziwny. Przypadkowo poznałem jednego z młodych pracowników Związku Rewizyjnego Spółdzielni Spożywców „Społem”, który mieścił się przy ul. Różanej na Mokotowie. Po pewnym czasie przyznał się on do przynależności do tajnej organizacji i przedstawił mi następującą propozycję: „Proszę pana, ja nie będę

nawet pytał, ale z góry wiem, że pan musi gdzieś pracować w jakiejś konspiracji. Otóż ja należę do organizacji «Miecz i Pług». Istnieje możliwość zakupu większej partii broni od Niemców.”

Propozycję przekazałem mojemu dowódcy. Stwierdził on, że muszą informatora najpierw zobaczyć i sprawdzić. W mieszkaniu moich rodziców urządzili spotkanie. Ukryli się w ubikacji, której drzwi zakryli czarnym papierem, zostawiając sobie szparkę do obserwacji. Zaprosiłem młodego człowieka do siebie i omawialiśmy pewne szczegóły przekazania broni. Broń miała być przekazana pod Puławami, w okolicy Dęblina, Garwolina. To miał być cały samochód ciężarowy broni i amunicji. Moi przełożeni obejrzeli mojego gościa, potem przeprowadzili całą inwigilację i analizę jego osoby i stwierdzili, że to jest wiarygodny człowiek.

Propozycja dotycząca przejęcia broni została potraktowana bardzo poważnie. W związku z tym cały uzbrojony oddział kontrwywiadu wybrał się na akcję przejęcia broni i amunicji od Niemców. Okazało się, że to była prowokacja. Cała nasza grupa została otoczona przez Niemców. Kilkunastu moich kolegów zostało zastrzelonych lub wziętych na Pawiak. Dopiero potem się dowiedziałem, że „Miecz i Pług” to była organizacja stworzona przez gestapo dla inwigilacji naszych grup akowskich i innych organizacji podziemnych.

Przed akcją mój dowódca powiedział, że ja nie mogę iść, bo już jestem tam zdekspirowany. To uratowało mi życie. Jako jeden z niewielu uratowałem się z tej grupy. Moi dowódcy powiedzieli, że w tej sytuacji

cała nasza rodzina musi uciekać z mieszkania. Przez prawie rok tułaliśmy się po całej Warszawie od jednego mieszkania do drugiego, a mieszkanie nasze stało wolne.

W 1943 r. moi przełożeni powiedzieli: „Dla ciebie jest jedna możliwość. Musisz przekonać tego przedstawiciela «Miecza i Pług», że nie masz żadnych dalszych kontaktów z AK i z nami. Jeżeli on ci uwierzy, to ci da spokój, a jak nie uwierzy, to cię zastrzeli.” Nawet pamiętam, gdzieśmy się spotkali. W czasie okupacji na rogu Marszałkowskiej i Alej były takie jednopiętrowe budki, gdzie były różne sklepy. W tym miejscu się spotkaliśmy. Zrobiłem z siebie głupka. Zacząłem płakać, że jestem taki nieszczęśliwy, że koniecznie chcę walczyć z Niemcami, ale nie mam dojścia, może on ułatwiłby mi takie. On tak na mnie patrzył, patrzył, patrzył i mówi: „No nie, ja nie mam żadnej możliwości”. I dał mi spokój.

Wtedy postanowiliśmy wrócić z powrotem do mieszkania. Chciałem dalej walczyć. Kontrwywiad powiedział: „Jesteś spalony i my nie chcemy mieć z tobą nic wspólnego”. Musiałem szukać innego dojścia. I znalazłem. Brat mojej koleżanki ze Szkoły Zaorskiego zaproponował mi skończenie podchorążówki. Bardzo chętnie się zgodziłem.

Zajęcia z podchorążówki miały różny przebieg. Były wykłady, ćwiczenia, a nawet ćwiczenia w lesie z użyciem broni. Niektóre zajęcia odbywały się w naszym mieszkaniu. Kazano mi zrobić skrytkę na broń. To był trzeci czy czwarty cykl tych podchorążówek.

Po skończeniu II turnusu Szkoły Podchorążych Rezerwy w maju 1944 r. jego słuchacze zebrali się w jednym z mieszkań, aby złożyć przysięgę. Wtedy okazało się, że w zasadzie nie wiemy, do jakiej właściwie organizacji podziemnej należymy. Nie był to przypadek odosobniony. Młodzi ludzie przede wszystkim chcieli walczyć z okupantem, nie było najważniejsze, w ramach jakiej organizacji.

Padły słowa:

- Teraz złożycie przysięgę na wierność.

Zanim wypowiedzieliśmy rotę przysięgi, co czyniło nas żołnierzami ze wszystkimi tego konsekwencjami, zadałem pytanie:

- Zaraz, zaraz, ale komu my mamy składać przysięgę?

- Nam.

- A co to znaczy? - ja na to. - Czy to jest AK i nic więcej?

- Owszem, AK i coś więcej. NOW.

NOW to była Narodowa Organizacja Wojskowa, utworzona w październiku 1939 r. i podlegała prawicowemu Stronnictwu Narodowemu. W 1942 r. część NOW podporządkowała się Armii Krajowej, pozostała część utworzyła Narodowe Siły Zbrojne.

Oczywiście w momencie składania przysięgi nie miałem pojęcia o tych subtelnościach politycznych. Sam osobiście w tym czasie nie reprezentowałem żadnych skrajnych poglądów. Byłem zarówno przeciwny prawicy, jak i lewicy, tj. komunistom.

Nie miałem specjalnego wyboru. Gdybym odmówił złożenia przysięgi, mógłbym być podejrzany o zdekonspirowanie kolegów, instruktorów i lokalu. Mogłoby się to skończyć nawet zastrzeleniem mnie jako potencjalnego denuncjatora. W tej sytuacji złożyłem przysięgę i zostałem żołnierzem NOW, otrzymując stopień kaprała podchorążego. Otrzymałem pseudonim, już nie pamiętam, jaki. Zostałem przydzielony do kompanii „Grażyna” NOW pod dowództwem podporucznika Mariana Krawczyka ps. „Harnaś”, podległej Warszawskiemu Okręgowi AK.

Zbliżał się 1 sierpnia 1944 r.

Powstanie

Wybuch Powstania rozdzielił naszą rodzinę. Ojciec znajdował się w Sokołowie Podlaskim. Mama przebywała na terenie Śródmieścia Południowego. Ja, zgodnie z rozkazami, udałem się na ul. Sienkiewicza

w Śródmieściu Północnym. Brat natomiast z innymi żołnierzami 1 kompanii „Maciek” batalionu „Zośka” znalazł się na Woli w rejonie koncentracji Zgrupowania „Radosław”.

Moja kompania „Grażyna”, dowodzona przez ppor. „Harnasia”, na wypadek Powstania miała wyznaczoną koncentrację w Fabryce Trykotaży przy ul. Sienkiewicza 16. Mieliśmy się tam zgłosić 1 sierpnia 1944 r. na godz. 17.00.

Na miejsce koncentracji przybyłem nie bez trudności ok. 16.00. Wyczuwało się atmosferę podniecenia, niepewności i zdenerwowania. Niemcy też zachowywali się nie tak butnie i pewnie, jak zwykle. W miejscu zgrupowania, które stanowiły dość duże hale produkcyjne, doznałem szoku. Zgromadziło się tam bowiem kilkudziesięciu „kandydatów” na Powstańców, przy czym większość z nich była bez broni. Ostatecznie na 65 ludzi - żołnierzy, sanitariuszek i łączniczek były 3 pistolety maszynowe i kilka pistoletów ręcznych Oddziału Specjalnego kompanii (tzw. OS). Byłem już doświadczonym żołnierzem i nie mogłem oprzeć się wrażeniu beznadziejności naszej sytuacji. Z tym uzbrojeniem mieliśmy zdobyć Poczta Główną. Z gołymi rękami na czołgi i bunkry.

Trzeba pamiętać, że w czasie Powstania Warszawskiego miałem już dwadzieścia lat. Miałem inne podejście niż moi, z reguły młodszy, koledzy. Mój stosunek do Powstania był krytyczny. Raczej nie wierzyłem w to, żeby Powstanie się udało. I to była moja największa tragedia, jeżeli mogę tak powiedzieć. Uczestniczyć w akcji podejrzewając, że ona musi zakończyć się klęską, a równocześnie mając świadomość, że muszę brać w tym udział. To jest coś wyjątkowo

tragicznego. W związku z tym moje dyskusje z kolegami powodowały, że oni ciągle mówili: „Oj, filozof, filozof!” Stąd powstał mój pseudonim „Filozof”. Był nadany mi przez kolegów.

O godz. 16.30 ppor. „Harnaś” zarządził zbiórkę oddziału i wygłosił krótkie przemówienie. Poczujęm się trochę lepiej. Dowódca wysłał następnie patrole rozpoznawcze na ul. Marszałkowską i pl. Napoleona w celu zorientowania się w sytuacji, a w szczególności ustalenia, czy istnieje możliwość dotarcia na ul. Królewską i zdobycia obsadzonego przez Niemców tzw. Domu bez Kantów, Niestety, okazało się, że Niemcy ze swych stanowisk na Poczcie Głównej blokowali wszelkie ruchy na pl. Napoleona i wzdłuż ul. Mazowieckiej. W czasie okupacji Poczta Główna znajdowała się tam, gdzie teraz stoi Narodowy Bank Polski. Nasz oddział przemieszczono więc doraźnie do kamienicy na rogu Sienkiewicza i Marszałkowskiej.

Około godz. 18.00 zajechał przed nią czołg Pantera i po chwili wyczekiwania oddał strzał w naszą stronę. Nie wiem, skąd wiedział, że my się znajdujemy na pierwszym piętrze w narożnym budynku. Nie zdawałem sobie sprawy, jak ogromna jest siła wybuchu. Pocisk przebił front budynku i rozerwał się na przeciwległej ścianie zabijając jednego z naszych kolegów i ciężko raniąc w twarz drugiego.

Mieliśmy sanitariuszki, ale nie było materiałów. Sprowadzono więc z sąsiedztwa lekarza z torbą narzędzi. Lekarz zapytał: „Czy ktoś z was zna się troszeczkę na medycynie?” Byłem wówczas już na IV roku medycyny, której uczyłem się w Szkole Zaorskiego. Zgłosiłem się na ochotnika do pomocy w zabiegu operacyjnym.

Było to moje pierwsze zetknięcie z ciężko rannym. Była to straszna operacja. Kolega miał zmasakrowaną twarz. Proszę wyobrazić sobie młodego chłopca, który ma pomagać przy szyciu twarzy, która ma zmiążdżoną żuchwę, powybijane zęby, oko na wierzchu i tak dalej, i tak dalej. To było straszne przeżycie. Nie wiem, w jakim stopniu pomogłem lekarzowi, ale tę operację będę pamiętał do końca życia. Niestety, stan rannego był bardzo ciężki i, mimo przeniesienia go do szpitala, w niedługim czasie zmarł.

Jakby w odwecie za te straty Oddział Specjalny wysłany przez „Harnasia” na Marszałkowską ostrzelał przejeżdżający samochód niemiecki i wziął do niewoli pozostałych przy życiu Niemców.

Zapadła noc, pełna niepewności i oczekiwania. W międzyczasie przyszedł rozkaz przekwaterowania się na ul. Mazowiecką („Harnaś” wybrał zespół budynków przy ul. Mazowieckiej 4) i zaatakowania Poczty Głównej od strony Świętokrzyskiej.

2 sierpnia we wczesnych godzinach rannych wydzielona grupa kompanii „Grażyna” zajęła pozycję wypadową na ul. Świętokrzyskiej. Rano Niemcy usiłowali wzmocnić załogę Poczty, wysyłając kilka czołgów z oddziałami piechoty od Nowego Świata wzdłuż Świętokrzyskiej. Mimo ich prób zasłaniania się ludnością cywilną, czołgi udało się powstrzymać.

Do godz. 16.00 Poczta została zaatakowana ze wszystkich stron. Wykuto m.in. wylom w murze od strony Świętokrzyskiej i żołnierze wdarli się na teren Poczty dzięki brawurowemu atakowi pchor. Witolda Kieżuna ps. „Wypad”. Z pistoletem wpadł on do wartowni. Okazało się, że byli tam tylko pocztowcy, ochrona poczty, nie prawdziwi żołnierze. Krzyknął: „Ręce do góry!” i wszyscy podnieśli ręce. A było ich chyba z dwunastu czy czternastu. Zabrał im dwanaście karabinów, a im kazał iść z wyciągniętymi rękami. Sam aresztował dwunastu Niemców, zdobywając bezcenną dla nas broń, którą rozdano żołnierzom kompanii „Grażyna”. Ja otrzymałem karabin, z którego byłem niewymownie dumny.

Zdobycie Domu bez Kantów było natomiast niemożliwe, naokoło wszędzie były posterunki niemieckie, czołgi, barykady. Było to zupełnie nierealne.

Około 6 sierpnia przeniesiono nas na do kamienicy przy Mazowieckiej 4. Była to własność hrabiego Maurycego Potockiego, właściciela m.in. pałacu w Jabłonie. Hrabia Potocki służył w swoim czasie w armii austriackiej w stopniu rotmistrza. Przywitał nasz oddział, a właściwie naszego dowódcę, chlebem i solą, meldując się w zielono-kanarkowym mundurze rotmistrza i oddając się do dyspozycji ppor. „Harnasia”. Ponieważ był on równocześnie właścicielem znajdującej się w tej kamienicy restauracji „Pod Kotarą”, mieszczącej się na pierwszym piętrze, zaofiarował nam zaprowiantowanie, co w sposób istotny poprawiło nam nastrój i humory. Restauracja „Pod Kotarą” była dość znana, słynna z tego, że w czasie okupacji było to miejsce spotkań konspiracyjnych różnych organizacji. Rotmistrz Potocki na polecenie

„Harnasia” chwilowo objął nad nami dowództwo. Był to naprawdę dzielny człowiek, który zasłużył się całemu naszemu zgrupowaniu, wspomagając nas nie tylko prowiantem.

6 sierpnia w związku ze znacznym zwiększeniem stanu uzbrojenia i odegraniem istotnej roli w zdobywaniu Poczty Głównej powstało Zgrupowanie „Harnaś”, w skład którego weszła m.in. kompania „Grażyna”. Jego zadaniem była obrona linii Traugutta - Czackiego - Świętokrzyska, a w dalszym planie zdobycie Komendy Policji i Kościoła św. Krzyża.

Z tego okresu względnej spokoju pamiętam pewne wydarzenie. Na placu Napoleona (teraz plac Powstańców Warszawy) stał gmach o nazwie Prudential (teraz Hotel Warszawa). Był to wybudowany przez Amerykanów najwyższy budynek w Warszawie. Po zdobyciu przez nas placu Napoleona zawiesiliśmy na szczycie Prudentialu polską, biało-czerwoną flagę. Niemcy uwzięli się, żeby tę flagę strącić przy pomocy celnych strzałów z działa czołgowego. Myśmy się na początku strasznie cieszyli, bo oni chyba z pięć strzałów oddali, wszystkie niecelne. Klaskaliśmy, cieszyliśmy się. Po kilku niecelnych strzałach Niemcom udało się jednak flagę strącić. Dla nas, chłopców siedemnasto-, osiemnasto- czy dziewiętnastoletnich to była dzika radość, że możemy coś zrobić, czego nie można było zrobić przez tyle lat okupacji.

W tym czasie Zgrupowanie „Radosław”, w skład którego wchodził batalion „Zośka” toczyło ciężkie walki na Woli. Mój młodszy brat Witold Maciej Danysz ps. „Jeleń”, walczył w 1 kompanii „Maciek” batalionu „Zośka”. W akcji przeciw Niemcom w pewnej chwili dostał rozkaz, aby zaatakować samochód, w którym byli esesmani. Gdy się do

niego zbliżał, jeden z esesmanów, którego uważano za zabitego, podniósł się i strzelił bratu dwu- lub trzykrotnie w brzuch. Wtedy rana w brzuch była praktycznie śmiertelna. Zaniesiono brata do szpitala Karola i Marii. Był to szpital dziecięcy.

Był tam między innymi lekarz Władysław Barcikowski, późniejszy generał. On był chirurgiem, a jego żona anestezyjologiem. Przyszedł, zobaczył mego brata, machnął ręką i powiedział:

- Z niego już nic nie będzie.

Ale jego żona zobaczyła młodego, siedemnastoletniego chłopca. Żal się jej go zrobiło i ubłagała swego męża:

- Słuchaj, poprośbyj zrobić operację! Wytnij te poszatkowane jelita.

I on wyciął bratu siedem metrów jelita i zaszył brzuch.

Po kilku dniach szpital został zdobyty przez Ukraińców. Ukraińcy podpalali cały szpital. Powiedzieli:

- Kto może chodzić, niech wychodzi!

Grupę tych, którzy wyszli, esesman poprowadził do Szpitala Wolskiego. Były tam pielęgniarki, lekarze, lżej ranni, no i mój ranny brat. Potraktowano go jako chorego cywila.

Po drodze była bardzo dramatyczna chwila. Do esesmana przyjechał na motorze żołnierz z rozkazem. Ten powiedział:

- Według rozkazu mam stąd zabrać komendanta szpitala. Komendant szpitala, wystąp!

Komendant szpitala wraz z oddziałami „Gustawa” (a więc moimi) przeszedł na Stare Miasto.

- Nie ma komendanta!

- Mnie to nie obchodzi. Jeśli w ciągu trzech minut nie zjawi się komendant szpitala, to ja wszystkich was rozstrzelam! - powiedział Niemiec.

I postawił karabin maszynowy. Wtedy jeden z lekarzy, który nie miał nic wspólnego z dowództwem, kierownictwem tego szpitala, wystąpił i powiedział:

- Ja jestem komendantem szpitala.

Esesman wyjął pistolet i zastrzelił go na miejscu.

Grupa doszła do Szpitala Wolskiego. W szpitalu brat został położony na łóżku z innym chorym. W pewnym momencie przyszedł rozkaz:

- Wszyscy, którzy przyszli ze szpitala Karola i Marii, na dół!

Tych, co zesli, rozstrzelano. Siostra szarytka, która tam była, powiedziała do brata:

- Schowaj się pod siennik, na sienniku będzie leżał drugi chory, może się uratujesz.

I rzeczywiście tak było, brat się uratował.

Po podleczeniu się w szpitalu brat trafił do Żyrardowa, do naszego wuja Wiesława Strzałkowskiego, który był urzędnikiem w miejscowym magistracie. Wujowi udało się załatwić dla brata papiery zezwalające na poruszanie się na terenie Generalnej Guberni. Korzystając z tych papierów, brat pojechał później do Krakowa.

Najbardziej tragiczny dla kompanii „Grażyna” okazał się 15 sierpnia. Rozpoczął się ostrzał z miotacza min, tzw. „krowy”, początkowo Prudentialu, a potem rejonu ul. Mazowieckiej. Myśmy nazywali te miotacze „krowami” albo „szafami”. „Szafy” dlatego, że zawsze był taki

charakterystyczny zgrzyt, gdy naciągali sprężyny. A „krowy” dlatego, że wystrzał „krów”, z reguły było to sześć pocisków, przypominał troszeczkę ryk krowy. Pierwsze miny wzniciły pożar w kamienicy przy Mazowieckiej. Trzy dalsze pociski zapalające (fosfor!) wpadły na podwórze. Na dodatek jeden z nich trafił w zgromadzone przed wejściem do tylnej oficyny butelki z benzyną, których było ze trzydzieści.

Chwilę wcześniej ogłoszono alarm i wszyscy wybiegli na podwórze. Jeden z plutonów, akurat 3 pluton, w którym ja byłem, był już gotowy, ustawiony w szeregu. I chyba trzynaście osób z tego plutonu stanęło w płomieniach. To było coś przerażającego. Do dzisiaj pamiętam i słyszę ryk bólu palących się ludzi...

Rozszalało się piekło. Płonący fosfor i benzyna obróciły kilku żołnierzy z plutonu w żywe pochodnie. Widziałem dantejskie sceny. Wśród ogarniętych płomieniami był m.in. dowódca 3 plutonu pchor. Bolesław Koucki ps „Kocio”. Jakimś cudem byłem nietknięty i rzuciłem się do gaszenia płonących kolegów.

Pamiętam, że m.in. zająłem się podchorążym „Kocio”. Po ugaszeniu na nim fosforu zobaczyłem, że miał oberwaną rękę i całkowicie spaloną skórę twarzy, ramion i górnej części tułowia. Pamiętam, że trzymałem jego głowę na kolanach. W pewnym momencie odzyskał przytomność, podniósł się na jednej ręce, zobaczył, że nie ma drugiej i że jest właściwie cały spalony i zemdłał. Wiem, że niedługo potem zmarł w strasznych męczarniach, mimo przeniesienia do szpitala.

Największe straty poniósł 3 pluton, w którym służyłem. Zmarłych pochowano na cmentarzu Zgrupowania, na ulicy - o makabrycznej w tym kontekście nazwie - Dowcip.

Kwaterę czasowo przeniesiono na Świętokrzyską 17, ale kiedy okazało się, że na Mazowieckiej ocalała lewa oficyna i tyły kamienicy, powrócono na starą kwaterę.

20 sierpnia zapadła decyzja o ataku na Komendę Policji i Kościół św. Krzyża, których to obiektów broniło około 200 Niemców. Doszło do brawurowej wspólnej akcji „Harnasia” i „Lewara”, która zakończyła się pełnym sukcesem.

Pamiętam epizod z Kościoła św. Krzyża. Po zdobyciu kościoła przez kilka dni trzymaliśmy w nim warty. Tam jest główne wyjście oraz drzwi po lewej i po prawej stronie. Siedziałem po lewej stronie. A przed nami była postać Chrystusa. W pewnym momencie nadjechał z lewej strony, od ul. Królewskiej, czołg. Dla nas to była gratka. Ktoś powiedział: „To atakujemy!” Rzuciliśmy butelki z benzyną i granaty zapalające, niestety nie udało się czołgu zapalić. Niemcy zorientowali się, gdzie jesteśmy. Czołg obrócił działo i zaczął do nas celować. Całe szczęście, że wieża obracała się powoli, zdążyliśmy uskoczyć za filar.

Inny epizod z tego samego miejsca. Z boku kościoła była mała kapliczka, teraz już jej nie ma. Zorientowałem się, że słychać przez okienko kapliczki głosy niemieckie. Niemcy od strony ul. Traugutta przebijali i borowali dziury. Chcieli zrobić podkop pod kościołem i

wysadzić go w powietrze. Uznałem, że to jedyna okazja, żeby ich obrzucić granatami. I rzuciłem granat. Niestety, zbyt mało wyczekałem. Przy granacie trzeba z reguły czekać trzy sekundy, najlepiej odliczyć „sto dwadzieścia jeden, sto dwadzieścia dwa i sto dwadzieścia trzy”. Jeżeli rzucający się pomyli, zrobi to za wolno, granat wybuchnie mu w rękę. Popełniłem inny błąd. Rzuciłem za wcześnie, bo usłyszałem stuk granatu po drugiej stronie i tupot uciekających Niemców. Potem granat oczywiście wybuchł, ale prawdopodobnie nic Niemcom nie zrobiłem. Za chwilę do kapliczki wpadł granat rzucony przez Niemców. W ostatniej chwili udało mi się uskoczyć za filar. W ten sposób się uratowałem.

3 września rozpoczęło się natarcie Niemców na Kościół św. Krzyża. Rozpoczęli oni podejście od ul. Czackiego, borując dziury w celu umieszczenia ładunku i wysadzenia kościoła. W tym dniu zginął nasz bohaterski i ukochany przez wszystkich żołnierzy dowódca por. „Harnaś”. Była to ogromna strata. Zgrupowanie zostało rozwiązane. Dowództwo kompanii „Grażyna” przejął nie lubiany i nieszanowany przez podwładnych por. Tadeusz Lawiński ps. „Ludwik”.

Niemcy dwukrotnie doprowadzali do wybuchu ładunku pod północną ścianą kościoła. Drugi wybuch był tak silny, że zawaliła się podłoga. W tym momencie byłem w środkowej nawie i wpadłem po ramiona, z gruzami, do tzw. dolnego kościoła. Koledzy pomogli mi wydobyć się stamtąd. Cudem nie uległem poważniejszym poranieniom. Przez powstały w ścianie wyłom Niemcy, używając miotaczy płomieni i karabinów maszynowych, wyparli nas z kościoła.

6 września „Grażyna” opuściła kościół. Następnie rozpoczęły się systematyczne naloty stukasów na ruiny Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i na Komendę Policji, ciągle znajdujące się w naszych rękach. Cała Komenda Policji płonęła, ale myśmy tam trzymali wartę. Sztukasy to jest straszna broń psychologiczna. Lecąc nisko nad celem, który bombardują, wydają taki specjalny, przerażający gwizd. Jeden z moich kolegów trzymał wtedy wartę. Niemcy zbombardowali sąsiedni budynek, gdzie w czasie okupacji była księgarnia Gebethnera i Wolffa. Zawaliła się cała ściana i zasypała go. Nie wiedziałem, co robić. Bałem się, że jeśli pójde go ratować, to mnie zastrzelą. Przełamałem się, pobiegłem i odgrzebałem go stamtąd. To nie było bohaterstwo. Zrobiłem to raczej z tchórzostwa. Bałem się wyrzutów sumienia i poczucia braku odpowiedzialności, że nie poszedłem ratować człowieka, kolegi.

Oddziały stopniowo wycofywały się do ruin Poczty, a następnie do Prudentialu. Któregoś dnia po ostrzale najcięższego moździerza dowódca kompanii por. „Ludwik” zebrał nas i oznajmił, że dowództwo Powstania nie podało swego miejsca postoju i on uważa, że jest to koniec Powstania. Zaproponował rozpuszczenie żołnierzy, z których każdy na własną rękę powinien się ratować.

Wówczas jeden z dowódców plutonów ppor. Jan Wojtkiewicz ps. „Wiera” powiedział:

- Panie poruczniku, tak nie można! Chłopcy, teraz ja obejmuję kompanię i poprowadzę was na drugą stronę Alej Jerozolimskich, gdzie zgłosimy się do dyspozycji dowództwa.

Por. „Ludwik” gdzie się ulotnił, a my pod nowym dowództwem przeszliśmy, a właściwie przeskoczyliśmy Aleje. Tam czekała na nas przykra niespodzianka. Oddział żandarmerii powstańczej uznał nas za dezertersów, polecił oddać broń i wcielił do kompanii karnej. Zadaniem kompanii karnej było budowanie barykad pod ostrzałem albo noszenie prowiantu z magazynów Haberbuscha.

Wytrzymałem kilka dni. Byłem rozgoryczony i wściekły. Dlaczego spotkał nas taki despekt? Napisałem raport do dowództwa z prośbą o przeniesienie mnie, studenta IV roku medycyny, do służby zdrowia. Moja prośba została bardzo szybko spełniona.

Szpital PCK, do którego dostałem przydział, mieścił się w dużym mieszkaniu na pierwszym piętrze przy ul. Koszykowej. Spotkałem się z bardzo życzliwym przyjęciem i propozycją pracy jako pomoc-asysta przy zabiegach operacyjnych i opatrunkowych. Już po kilku dniach zdałem sobie sprawę, jak niewiele umiem z zakresu medycyny praktycznej, która była potrzebna w tej konkretnej sytuacji. Chirurdzy chcieli koniecznie, żebym im pomagał przy operacjach, a ja nie umiałem ani wiązać, ani szyc. Mogłem tylko służyć jako sanitariusz. Równocześnie widziałem, że szpitalowi brakuje żywności. Zaproponowałem komendantowi, że zamiast źle wykonywać pracę pomocnika chirurga, zajmę się aprowizacją szpitala. Powiedziałem komendantowi:

- Proszę pana, jak mam być złym sanitariuszem, to będę dobrym zaopatrzeniowcem!

W tym strasznym okresie, gdy pracowałem jako żołnierz karnej kompanii, poznałem drogi prowadzące do magazynów Haberbuscha, wypełnionych ogromnymi ilościami jęczmienia. Komendant z radością przystał na moją propozycję. Zażądałem oficjalnego pisma uprawniającego mnie do pobierania z magazynów Haberbuscha określonej ilości jęczmienia. Teraz pozostał problem transportu, tzn. ludzi, którzy zgodziliby się w niebezpiecznych warunkach, pod ostrzałem, nosić jęczmień z Woli do południowego Śródmieścia.

Mając pismo i wolną rękę ze strony przełożonych, zacząłem werbować ochotników do kolumny transportowej. Chodziłem po prostu po piwnicach, ogłaszając, że poszukuję ochotników do przenoszenia worków z jęczmieniem od Haberbuscha do szpitala na Koszykowej. Obowiązywała zasada: każdy ma obowiązek przenieść 20 kg dla szpitala, wszystko co ponad, to dla siebie. W Śródmieściu panował głód, jak więc można się było spodziewać, chętnych było aż nadto.

Zorganizowałem grupy po 20-30 osób, z własnymi workami. Wyprawa rozpoczynała się wcześnie rano. Początkowo szło się piwnicami, potem stopniowo górą. Trzeba było przeskakiwać przez Aleje pod groźbą ostrzału z niemieckiego czołgu obserwującego powstańczy wykop, który ze względu na tunel linii średnicowej na pewnym odcinku był prawie bez osłony.

Droga w jedną stronę trwała kilka godzin. Z powrotem jeszcze dłużej, ponieważ każdy z nas, ja naturalnie również, dźwigał co najmniej 30 kg jęczmienia. Co to znaczy przeciskać się na klęczkach niskimi wyłomami w murach piwnic, wie tylko ten, kto to przeżył.

Od tego momentu rozpoczęło się dla szpitala prawie „jedwabne” życie. Nie tylko każdy chory mógł dostać codziennie zupę „plujkę” z jęczmienia, ale równocześnie za jęczmień w drodze wymiany otrzymywaliśmy dla szpitala inne wiktuały, ponadto leki i opatrunki. Ja swój nadmiar jęczmienia za każdym razem, przez wiele godzin nocnych, miałem ręcznym młynkiem otrzymując bezcenną kaszę. Ponieważ miałem kontakt z moją matką, donosiłem jej oraz osobom, które ją wówczas w Śródmieściu przechowywały, kaszę jęczmienną, która wówczas była już prawie jedynym pożywieniem. Matka przebywała wówczas w piwnicy państwa Stefanowskich w domu na ul. Marszałkowskiej przy ul. Hożej. A dni mijały.

Przeżyliśmy w stanie całkowitej euforii nalot kilkuset amerykańskich liberatorów ze zrzutami broni i amunicji. Do dziś pamiętam nieprawdopodobne uniesienie, które opanowało wszystkich. Ludzie rzucali się sobie w objęcia, śmiali, płakali. Niestety, ponad 80 procent zrzutów trafiło w ręce Niemców i trudno się było temu dziwić, jeśli uwzględni się fakt, że samoloty leciały na wysokości 10 000 metrów.

20 września wybrałem się z naszą grupą „tragarzy” do Haberbuscha. Jeszcze przed Marszałkowską natrafiliśmy na silny ostrzał z granatników - mówiono, że amerykańskich, zrzuconych z liberatorów. Gdy przebiegaliśmy przez jedno podwórko, trafiły nas dwa czy trzy pociski. Na moich oczach odłamek prawie oderwał głowę biegnącemu przede mną, człowiekowi z grupy transportowej. Poczułem mocne uderzenie, ale biegłem dalej. Wpadłem do bramy i natknąłem się na jakąś sanitariuszkę, która wykrzyknęła: „Ależ pan jest ranny!” i złapała mnie za prawą rękę. Wtedy dopiero poczułem ból. Krzyknąłem.

W tej samej kamienicy, w piwnicy, mieścił się punkt opatrunkowy. Sanitariuszka zaprowadziła mnie na dół, tam zastałem kilkunastu rannych czekających na opatrunek. Jednocześnie zjawili się moi ludzie. Poprosiłem, aby wrócili do szpitala i zawiadomili komendanta o moim zranieniu. Zorientowałem się, że jestem ranny w rękę, w nogę, w brzuch i w twarz. Miałem kłopoty z mówieniem. Potem okazało się, że miałem urwany kawał języka. Najważniejsza, jak się potem okazało, rana w brzuch była spowodowana odpryskiem cementu i nie penetrowała do jamy brzusznej.

Pomoc z mojego szpitala nadeszła po kilku godzinach. Byłem już prowizorycznie opatrzony, ale znajdowałem się w szoku. Makabrą był transport. Leżałem na noszach, które nie mieściły się w ciasnych przejściach między piwnicami. W kilku miejscach musiałem się zwlec z noszy i na czworakach przeczołgać przez ciasne przejścia. W szpitalu PCK bardzo troskliwie zajęli się mną moi przełożeni - chirurdzy. Najwięcej kłopotu sprawiała im rana twarzy. Zszyli tylko przeciętą wargę, pozostawiając pękniętą żuchwę, zęby i język „na łaskę Boską”. Niepokoiła ich również rana w nodze, tuż obok dołu pachwinowego i w pobliżu dużych naczyń, na szczęście, nieuszkodzonych. Próbowali zszyć ranę. Potem okazało się, że było to daremne. Rana zropiała i szwy się rozeszły.

Moi przełożeni wiedzieli, gdzie mieszka moja matka, zawiadomili ją o moim stanie. Matka odnalazła mnie w szpitalu i zajęła się mną serdecznie, a co najważniejsze, skutecznie. Miałem zapalenie dna jamy ustnej, straszny obrzęk gardła, dusiłem się. Mowy nie było, abym cokolwiek jadł. Z ust przez cały czas ciekła ślina z ropą. Tylko czasami wlewano mi łyżeczką trochę wody i płynów. Mojej matce udało się

zdobyć gdzieś jedyny wtedy dostępny sulfonamid, Prontosil rubrum. Z pewnością on mnie uratował. To był cud. Byłem jednak krańcowo wyczerpany i osłabiony.

Tymczasem nastąpiła kapitulacja Powstania. Po zakończeniu Powstania do szpitala weszli Niemcy. Zostałem zaliczony do ludności cywilnej i, jako nie nadający się do transportu, wraz z innymi chorymi i rannymi pozostałem w szpitalu. Ze mną pozostała też matka.

Szpital zostawiono na razie w spokoju. W czasie pierwszych kilkunastu dni października dokoła słyszeliśmy wybuchy min, którymi Niemcy wysadzali okoliczne domy, podpalając je następnie miotaczami płomieni. Leżałem w szpitalu prawie trzy tygodnie, mój stan był bardzo ciężki. Niemcy zawiadomili nas, że zostaniemy wywiezieni samochodami ciężarowymi do Piastowa, gdzie znajdował się obóz przejściowy dla wysiedlonej z Warszawy ludności cywilnej. Była tam wielka hala, na kilka tysięcy osób. Tam umieścili mnie razem z matką. Leżałem praktycznie na ziemi.

Udało mi się zdobyć opaskę Czerwonego Krzyża, co umożliwiło mi razem z matką wyjście poza obręb hali fabrycznej, gdzie byliśmy zgromadzeni. Byłem oczywiście bez żadnych dokumentów. Próbowałem zdobyć jakieś papiery. Pojechałem do Żyrardowa, gdyż EKD działało. W Żyrardowie miałem wuja. Wuj powiedział, że dotarł do niego mój brat, któremu załatwił dokumenty, ale mnie już nie może pomóc. Złożyło się jednak tak szczęśliwie, że spotkałem tam jednego z moich kolegów ze Szkoły Zaorskiego, który wystarał mi się o fałszywą kennkartę wystawioną na moje prawdziwe nazwisko.

W Piastowie przeżyłem chwilę niewymownej rozkoszy, którą będę pamiętał do końca życia. Moja matka kupiła mi bułkę z salcesonem, który zwisał poza jej brzegi. Zjadłem, a właściwie pożarłem ją w oka mgnieniu.

Rany wymagały stałych zmian opatrunków, ale żyłem i wszystko wskazywało na to, że będę żył. Dodatkowo bardzo pozytywnym aspektem była obecność mojej matki. Potem transportem wywieziono nas w kierunku Krakowa. Pociąg był nawet osobowy, z przedziałami. Nie wiedzieliśmy, gdzie nas wiozą. Na wszelki wypadek uciekliśmy, wyskakując z pociągu w Płaszowie, skąd dotarliśmy do znajomych w Krakowie. Tam, na Stradomiu, mama miała znajomych, którzy nas przytulili.

Dalsze losy

Po zamieszkaniu w Krakowie zgłosiłem się do szpitala, gdzie zostałem zatrudniony jako sanitariusz. Pracowałem, mimo nie zagojonych ran, w szpitalu popowstańczym zlokalizowanym w budynku Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu Jagiellońskiego przy ul. Kopernika 7.

Udało mi się nawiązać kontakt z ekspozyturą Związku Rewizyjnego Spółdzielni Spożywców „Społem” w Krakowie. Dzięki temu matka i ja dostawaliśmy darmowe obiady. Potem dołączył do nas brat. Stwierdzono u niego ciężką gruźlicę, która rozpoczęła się pod koniec okupacji.

18 stycznia 1945 r. Kraków został wyzwolony przez wojska gen. Iwana Koniewa, któremu udało się zdobyć miasto praktycznie bez walk ulicznych, a więc zniszczeń. W tym momencie mogliśmy już legalnie zamieszkać w mieszkaniu na Stradomiu. Po pewnym czasie dotarł do nas ojciec.

Ojciec w czasie Powstania przebywał w okolicach Sokołowa Podlaskiego, który wcześniej został wyzwolony przez wojska rosyjskie. Powołano go do Wojska Polskiego i mianowano dowódcą 1 Białostockiego Pułku Apropowizacyjnego. Pułkiem tym dowodził do zakończenia działań wojennych, docierając do Berlina. W międzyczasie został mianowany do stopnia podpułkownika. Po zakończeniu wojny pułk, którym ojciec dowodził, przesunięto do Szamotuł. Stamtąd ojciec przyjechał do Krakowa i odnalazł rodzinę.

Mój brat, Maciek, poprosił ojca, aby przyjął go w szeregi pułku. Ojciec zgodził się na to, mając nadzieję, że zapewni mu w ten sposób dobre odżywianie w celu poprawienia stanu jego zdrowia.

Brat mój był zażartym antykomunistą. Wykorzystując dogodny moment, ze sfalszowaną przepustką uciekł do Berlina, do Amerykanów. Został na zachodzie, dotarł do Bari na południu Włoch. Tam skończył podchorążówkę i zdał maturę. Niestety nie skończyły się jego kłopoty z gruźlicą. We Włoszech ciężko się rozchorował. Amerykanie chcieli tę gruźlicę wyleczyć i przetransportowali go do Anglii. Tam zrobiono mu rzecz, którą teraz uważa się za niewłaściwą, a nawet zbrodniczą, tzw.

wyrwanie nerwu przeponowego po to, aby jedna część przepony nie ruszała się - takie unieruchomienie płuca. Teraz za takie coś zastosowano by wobec lekarza odpowiedzialność karną.

Później dowiedzieliśmy się o losach brata i namówiliśmy go, aby przyjechał do Polski. Był już trochę podleczoney, gdy się na to zdecydował. Wrócił do kraju, ukończył Wyższą Szkołę Handlową, pracował jako dziennikarz, zajmował się zagadnieniami ochrony przyrody.

Ja zostałem w Krakowie i tam zapisałem się na wydział lekarski. W 1947 r. uzyskałem absolutorium, w 1948 r. otrzymałem dyplom lekarza. Pracowałem na anatomii, a potem na farmakologii. W 1949 r. uzyskałem tytuł doktora medycyny. A w 1950 r. zostałem powołany do wojska.

Oczywiście, za żadne skarby nie chciałem być w tym ludowym wojsku. Próbowałem sobie coś tam powstrzykiwać, żeby uzyskać efekty badań odpowiednie do uzyskania zwolnienia. Nie udało mi się to, miałem za małe doświadczenie. Moim bezpośrednim przełożonym był profesor Janusz Supniewski. Był to słynny uczony. Skończył dwa fakultety: chemię i medycynę. Syntetyzował różne związki chemiczne, które mogłyby działać leczniczo. Powiedział mi on: „Proszę pana, piętnaście miesięcy to pan nawet nie będzie wiedział, kiedy to upłynie!” Posłuchałem jego rady.

Moja przygoda z wojskiem trwała, niestety, aż do 1957 r. Potem mogłem już rozpocząć „cywilną” pracę naukową.

W międzyczasie w roku 1950 zawarłem związek małżeński z Wiesławą Dec. W 1951 r. urodziła mi się córka Beata, a w 1957 r. syn Wojciech.

W 1961 r. obroniłem pracę habilitacyjną i zostałem docentem. W 1970 r. uzyskałem stopień profesora nadzwyczajnego, a w 1980 r. profesora zwyczajnego.

Przez cały okres rządów komunistycznych w Polsce konsekwentnie nie przyznawałem się do jakiegokolwiek działalności konspiracyjnej. Na wszelki wypadek miałem fałszywą legitymację PAL - Polskiej Armii Ludowej. Gdyby dowiedziano się, że miałem coś wspólnego z NOW, moje losy potoczyłyby się zupełnie inaczej. Większość moich kolegów siedziała w więzieniach. Witold Kieżun na początku siedział w sowieckim łagrze, potem był więziony przez UB. Inny mój kolega z „Grażyny”, Jerzy Butwiłło, też siedział we Wronkach.

Po 1989 r. mogłem wreszcie ujawnić swoją działalność konspiracyjną w czasie okupacji hitlerowskiej. Uzyskałem uprawnienia kombatanckie, a w związku z ciężkimi ranami odniesionymi w czasie Powstania Warszawskiego, kartę inwalidzką.

Andrzej Danysz

Tekst ukazał się na stronie Stowarzyszenia Pamięci Powstania Warszawskiego 1944 www.sppw1944.org oraz w „Zeszytach Pamięci Powstania Warszawskiego. Zeszyt nr 9”, Warszawa 2017

Fot. Stowarzyszenie Pamięci Powstania Warszawskiego 1944